

Ku wsi, ku wolnej przestrzeni, byle z dala od miasta

Zawsze te same sosny żywiczne,
Zawsze te same wody krytyczne,
Łąki i rosa, przeróżne kwiatki,
Zarannek cichy i błękit gładki!
Skowronek, lecąc w toń lazurową,
Wisi w powietrzu nad moją głową,
Kiedy się w sobie, bracia, uciśnę —
To wszystko widzę i wszystko słyszę.

Teofil Lenartowicz

Radziejowice oddalone są o czterdzieści kilometrów na południowy zachód od Warszawy. Gniazdo rodowe Radziejowskich, jedna z tych miejscowości w pobliżu stolicy, które każdy krajoznawca odwiedzić powinien. Pośród pięknego parku stoi pałac z XVII w. i zameczek z XVI w., oba przebudowane po 1802 r.; zameczek w stylu gotyku romantycznego. W sąsiedztwie drewniany dwór klasycystyczny z przełomu XVIII i XIX w., z charakterystycznym portykiem, o tynkowanych, białych ścianach zewnętrznych, dwór, który w latach międzywojennych „grał” rolę Soplicowa podczas realizacji filmu według *Pana Tadeusza*, a po wojnie „występował” w *Lalce* Wojciecha Hasa. Przez Radziejowice płynnie uroczą rzeczulka o osobliwej nazwie Pisia Gągolina, nad którą można obejrzeć dobrze zachowany młyn wodny z pierwszej połowy XIX w. Aleja starych lip łączy teren pałacowy z klasycystycznym kościołem, zbudowanym w latach 1820—1822 według projektu Jakuba Kubickiego. Jest to typowa dla tego architektura budowla na planie centralnym, w kształcie ośmioboku z dwoma wysuniętymi ryzalitami. Inna aleja lipowa, złożona z bez mała stu drzew, prowadzi od pałacu w stronę Mszczonowa. Podobno lipy radziejowickie sadzone były królewską ręką Jana Kazimierza. Ruchliwa szosa

Warszawa—Katowice omija wszystko to nieco z boku.

Wokół Radziejowic łagodnie pofalowany teren na północnej krawędzi Wysoczyzny Rawskiej. Od północy miejscowość otoczona jest lasami, z których skraju, od drogi wiodącej ku Budom Radziejowickim, roztacza się widok na dolinę Pisi Gągolini, z Radziejowicami w dole, ze starymi drzewami zabytkowego parku, wśród których widnieje spiczasta wieżyczka zamczku.

W dolince stawy rybne. Wystarczy pójść drogą w kierunku wsi Kamionka, by po kilku minutach wędrówki przez las znaleźć się na miniaturowym pojezierzu. Krzyczą mewa śmieszki i rybitwy, gdaczą łyski, pokrzykują perkozy. Domostwa Kamionki mają ściany zbudowane z dużych kamieni, wydobywanych z morenowych wzgórz w okolicy. Taka kamienna chała przykryta jest nierzadko słomianym dachem. Czyżby to rzeczywiście było Mazowsze? Niedaleko stąd, zaraz za Mszczonowem, na gruntach wsi Zawady, o pięć minut drogi od szosy katowickiej, znajduje się w kępie drzew ukryty, drugi co do wielkości głaz polskiego niżu. Ten porwak lodowcowy ma czterdzieści metrów obwodu! Niewiele takich wielkich głazów w dolinach tatarzańskich.

W pobliskich Skułach, na rozstajnych drogach, u zbiegu dwóch strumieni, Pisi Tuczej i Korczunka, stoi drewniany kościółek jak marzenie, otoczony wieńcem starych lip i wysokich modrzewi. A w okolicznym lesie dęby śmigają w górę gonne, jakby białowieskie. Na dnie Korczunka kamienisty żwir, jakby w jakiejś górskiej rzeczce. Tak blisko od Warszawy?

Radziejowice od lat były miejscowością

w swoim rodzaju wycieczką. Właściciele gościli tu wiele znaczących osobistości, z głowami koronowanymi na czele. Radziejowscy słynęli nie tylko jako znakomici gospodarze, lecz także jako pierwszej wody intryganci. W XVI w. wszyscy mówili o Katarzynie Radziejowskiej, córce Jędrzeja, związanej romantyczną miłością z ostatnimi książętami mazowieckimi Stanisławem i Januszem. „Znała się ta panna na czarach i jeszcze za życia matki zdobyła sobie bezkarnie księcia Stanisława”. Wraz z matką była podejrzewana o współudział w czterech zabójstwach! Anny, księżny mazowieckiej, jej doradcy Zalińskiego, książąt Stanisława i Janusza. Z żoną Hieronima Radziejowskiego flirtował król Jan Kazimierz, jak mówiono, nie bez przyzwolenia pana małżonka, który osobiste chciał z tego flitru ciągnąć korzyści.

Ojciec Hieronima, Stanisław Radziejowski zgromadził olbrzymią fortunę, korzystając ze swojego sprytu, który umożliwił mu piastowanie po kilka stanowisk państwowych jednocześnie. „W Radziejowicach, majątku jego, leżącym na głównym trakcie o siedem mil od stolicy, stała karczma na dwieście koni, budynki dworskie na tysiąc gości. Kilkanaście działek wiatowych, niewyczerpana piwnica i znakomita kuchnia. Tutaj podejmował wojewoda przejeżdżających posłów zagranicznych, ziemskich i senatorów, gościł często po kilka dni królów Władysława i Zygmunta. W całej Polsce nie bawiono się tak wesoło, dostatnio i swobodnie, jak w Radziejowicach. Zdaje się, że to były najważniejsze zasługi, jakie stary wojewoda oddał krajowi”.

Pani Guébriant opisywała, jaki podejmował ją Hieronim Radziejowski. Oto „zaprowadził ją do ogrodu wesołego i ozdobnego tem wszystkim, co się oczom podobać może. Z jednej strony są wody, z drugiej kwiaty, szpalery, drzewa i różne gabinety, do odpoczynku, do bilardu i innych grów; każdy z nich ma piętro mieszkalne. Na końcu tego ogrodu, dość rozległego, jest otwarcie, które odpowiada ulicy pryncypalnej zwierzyńca i daleki

daje widok od wniścia do ogrodu, a nawet i podwórza, ten ginie w murawie, chyba, że go wstrzyma jakiś zwierz dziki, co się nam samym nieraz trafiało. Zwierzyniec jest częścią oparkanionym, częścią okolcowanym sośniną, jak wszystkie w Polsce zamknięcia: wśród niego płynie strumyk, ten kanałom ogrodowym wody dostarczając wpada w staw wielki kwadratowy, oblewając z jednej strony zamek. Wejrzenie to jest bardzo przyjemne, ożywione nawet widokiem gołębników, które otaczają wieżę, czyli dom okrągły wśród stawu leżący, gdzie się czasami rozwesela kompania”.

Radziejowice były „salonem”, do którego przyjeżdżało się dla odpoczynku i dla prowadzonych przy tej okazji dyplomatycznych zabiegów i pałacowych intryg. Gospodarze przygotowywali wszystko starannie, każdy z gości mógł odnaleźć to, co było mu potrzebne. Gdy Stanisław Radziejowski załatwiał z królem Zygmuntem III swoje sprawy, upraszając o kolejną godność, tymczasem „nigdzie królowa Konstancja nie używała z taką przyjemnością kąpieli, jak w łazienkach tego zamku”.

Koniec Radziejowic Radziejowskich zaczął się za czasów Hieronima, zawiadki, człowieka nieposkromionego temperamentu. Kiedyś, w czasie uczt u wojewody wileńskiego Krzysztofa Radziwiłła, pokłócił się z wojewodziecem ruskim Daniłowiczem. Potem obaj „walczyli na pięści i wyrwali sobie włosy, tak że odnieśli rany i zostali częściowo łysi”. Ogólnie znana jest jego słynna „rozróbka” w Warszawie, gdy 5 stycznia 1652 r. w nagłym przypływie zazdrości czy też z rozmysłem, Radziejowski, którego żona Elżbieta romanowała z Janem Kazimierzem, spowodował wielką burdę ze strzelaniem z działek włącznie, w bezpośrednim sąsiedztwie zamku królewskiego. W rezultacie został skazany na banicję i konfiskatę dóbr, „za co z kolei zemścił się namawiając Szwedów do napaści na Polskę”. Jego syn Michał, faworyzowany przez króla Jana III Sobieskiego, zdołał odzyskać skonfiskowany majątek. Onże Michał, prymas, prześlciowy właściciel (1690—1696) nie tak znów

odległego Nieborowa, mający rezydencję arcybiskupią w niedalekich Skierniewicach, właśnie tutaj, w Radziejowicach, chętnie przebywał, nie gdzie indziej. „Do Radziejowic gromadził skrzętnie skarby, chciwie łapane rozmaitymi sposobami; w Radziejowicach krył nawet swój wstyd, gdyż legendy i podania w pieśniach zachowane wskazują, że otaczał się nawet kobietami i że dla jednej z opuszczonych przez siebie strasznie urządził tam więzienie” — pisał Julian Bartoszewicz.

Po śmierci Michała, ostatniego z rodu Radziejowskich, pałac radziejowski podupadł i zniszczył. Później władali nim Prażmowscy i Ossolińscy, jednak ten okres w historii Radziejowic nie upamiętnił się niczym szczególnym.

Nowy okres zaczął się w chwili, gdy właścicielami Radziejowic zostali Krasieńscy. Kazimierz Krasieński na początku XIX wieku powierzył odbudowę rezydencji Jakubowi Kubickiemu; w rezultacie stała się bardzo reprezentacyjna, przy czym jej odnowiciel umiejętnie połączył tradycję z najnowszą modą. Następnym ważnym etapem był okres, w którym panem na Radziejowicach został Józef Krasieński. Kuzyn Wincentego z Opinogóry, ojca poety Zygmunta, był zupełnym przeciwieństwem generała. Tamten, jak wiadomo, skłonny był robić karierę za wszelką cenę, co realizował konsekwentnie i co nie przyniosło mu najlepszej sławy u potomnych. Józef Krasieński miał inne ambicje. Oto dzięki niemu Radziejowice zaczęły okres innej sławy, stając się ważnym ogniskiem kultury. Józef Krasieński był na ogół zamknięty na wielkoświatowe rozrywki arystokracji, siedział w swoich Radziejowicach, lecz nie siedział beczynnym. Urządził na przykład teatr na poddaszu pałacowym. Marian Brandys tak o tym teatryku pisał: „stał się sensacją okolicy. Zjeżdżało się obywatelstwo z sąsiedztwa i mieszczaństwo z pobliskiego Mszczonowa. — Jeszcześmy przy obiedzie siedzieli — chejpi się pan Józef — a już teatr był pełny, jak kościół w czasie odpustu” (*Koniec świata szwoleżerów*). Bo pan hrabia Józef był człowiekiem teatru, popełnił kil-

ka tekstów, m.in. napisał libretto do jednej z najbardziej znanych oper Karola Kurpińskiego *Zamek na Czorsztynie, czyli Bojomir i Wanda*, wystawionej w 1819 r. w Warszawie.

Wnuk teatromana, również Józef, prowadził w Radziejowicach salon plenerowy, jakich niewiele było w Polsce przełomu XIX i XX w. Radziejowice poczęły gościć ludzi kultury, światowych, bujnych, żądnych rozrywek, łaknących życia towarzyskiego przedstawicieli literatury, sztuki, warszawskiej prasy. Przyjeżdżali czasem na dłużej, czasem tylko na dwa, trzy dni. Jak taki weekend wyglądał, opisuje Edward Krasieński w wydanej w 1934 r. książeczce *O Radziejowicach i ich gościach niektórych*.

„Niektórzy jeździli łódką po stawie, szli na spacer, lub też do urządzonych na rzece kąpiel. Obnoszono chłodzące napoje, największy odbyt (! — przypis L. H.) miało kwaśne mleko z chlebem razowym. Wszyscy rozbawieni, tryskający dowcipem, bawili się jak dzieciaki. Wieczorem obiad przemówienia, dyskusje, scysje, a dzieci śledziły z napiętą uwagą to życie i gwar ludzi. W niedzielę rano msza święta w ślicznym kościółku radziejowickim na górcie. (...) Potem pojawiała się niespodzianka: gazetka pt. „Kurjer Radziejowicki”, wydawana i odbijana na hektografie przez literatów. Po śniadaniu wycieczka do lasów. (...) Po powrocie późne obiady na balkonie pałacowym z widokiem na stawy radziejowickie, szesnastowieczny zamek, znany z opisów Labourea i pani Guébriant i na wielkie lustro stawu, okolonego sitowiem, olszynami, widnokretem lasu Borki, oblanego potokami księżycowego, uspokajającego, seledynowego światła”.

Radziejowice ściągaly nie tylko „ludzi światowych i żądnych rozrywek”. Wielokrotnie przyjeżdżał tu na dłuższy wypoczynek Henryk Sienkiewicz, który tutaj, pośród przyjaznych ludzi, murów i przyrody „nierzadko doznawał natchnienia”. Bywał też wielki artysta i oryginał, mieszkający w pobliskiej Kuklówce, sam Józef Chelmoński, który często „otulony w burkę siadywał w borze czy na łąkach lub

polach i robił szkice. (Ulubione jego konie w taradajce pasły się opodal). Nadawała się do tego malownicza i dzika knieja radziejowicka, część słynnej ongi, królewskiej, jaktorowskiej puszczy”.

Nadworny geograf króla Stanisława Augusta Poniatowskiego Karol de Perthées wykonał na zlecenie królewskie wspaniały (a dzisiaj będący nieocenionym źródłem historycznym) atlas Polski, złożony z map województw, opracowany w skali 1 : 225 000. Mapa województwa rawskiego ukazuje wielką puszcze pomiędzy Łowiczem, Skierniewicami, Białą Rawską i Grodziskiem. Ten olbrzymi kompleks leśny, prawie w centrum Mazowsza, zagarniał całkowicie Mszczonów i niemal zupełnie otaczał Radziejowice. Na kompleks ten składało się kilka puszczy królewskich, tj. Bolimowska, Korabiewska, Wiskicka i Jaktorowska oraz lasy prywatne arcybiskupów gnieźnieńskich, związane ze Skierniewicami, lasy majątkowe m. in. nieborowskiego i radziejowickiego.

Radziejowice wyrosły z tradycji zameczków myśliwskich. Na Mazowszu było ich co najmniej kilka, m. in. w niedalekim Bolimowie i Wiskitkach, w Kamieńczuku nad Bugiem, w Osiecku. Korzyścili z ich gościny książęta mazowieccy, przyjeżdżając na odpoczynek. Jakże inaczej mieli odpoczywać prawdziwi mężczyźni, prawdziwi wojowie, jak nie na łowach!

W lustracji województwa rawskiego z 1564 r. lustratorzy królewscy zanotowali przy opisie wsi Młode Wiskitki albo Kościelne: „Jest w tej wsi przy kościele dworzec niemały, dobrze zbudowany, ale w nim nikt nie mieszka, chyba kiedy się gość jaki trafi, albo kiedy z zamku w puszczy polują, sieci wielkie tam chowają”. W tej to puszczy „turowie mieszkali często”. Od połowy XIV w. turów nigdzie indziej w Europie i na świecie nie było, żyły tylko tutaj, a ich główna ostoja była właśnie w Puszczy Jaktorowskiej. Zawdzięczać to należy szczególnej opiece królów polskich. W 1510 r. osiedlono w pobliżu puszczy specjalnych ludzi, tzw. łowców, których zadaniem było opiekowanie się turami i lasem.

Nazwa Puszczy Jaktorowskiej łączy się z dwoma tragediami, które właśnie dziś, gdy tak dramatycznie kurczy się otaczający nas świat przyrody, nabierają szczególnego znaczenia. Pierwszą tragedią była śmierć ostatniego tura na świecie. Pomimo ochrony populacja turów jaktorowskich wykazywała stałą tendencję spadkową. W 1557 r. było tu jeszcze pięćdziesiąt turów. W 1627 r. padła ostatnia turzyca. I to była pierwsza tragedia. Drugą jest los samej puszczy. Jeszcze w końcu XVIII w., jak to dobitnie ukazuje mapa Perthéesa, puszcza była znacznym kompleksem leśnym, lecz już był to tylko szczątek dawnej sławy. W ciągu stu lat pomiędzy połową wieku XVI i XVII obszar puszczy zmalał dziesięciokrotnie! Dzieła zniszczenia dopełnili osadzeni w niej od końca XVIII w. budnicy. „Kto chce widzieć budnika naszego (...) niech zajrzy w okolicy Kampinosu, Jaktorowa i Wiskitek (...) tam jeszcze panuje chęćka do wycinania godziwie lub niegodziwie ostatnich zapasu drzewa” — pisała „Gazeta Codzienna” w 1853 r. A leśnik Aleksander Połujański pisał gorzkie zdania: „Budnik osiadając w najciemniejszych lasach sam siedział w lichej chatce, a zwał, psuł i palił najpiękniejsze dęby, klony, jesiony, wiązy, graby. (...) Gdzie przeszedł budnik z siekierą swoją na plecach, z powiazaną sznurami strzelbą na ramieniu, głucha po nim cisza i pnie tylko a spróchniałe kłody” (*Opisanie lasów Królestwa Polskiego, 1854*). Do końca XIX w. Puszcza Jaktorowska znikła zupełnie... Ostatnie fragmenty leśne rozparcelowano na „miasta-ogrody”, np. tak powstał Milanówek na przełomie XIX i XX w.

*

Do najbardziej interesujących miejscowości odpustowych pod Warszawą należą Prostyni nad Bugiem, położona kilkadziesiąt kilometrów na północny wschód od stolicy. Warto się przy Prostyni dłużej zatrzymać.

Charakterystyczną sylwetką kościoła w Prostyni widać z daleka, z odległości po-

nad dwudziestu kilometrów. Podróżni przejeżdżający pociągiem kursującym na trasie łączącej Warszawę z Białymstokiem widzą go dobrze z okien swoich przedziałów. Za stacją Sadowne Węgrowskie pociąg opuszcza Puszcze Kamieniecką i jedzie wysokim nasypem pośród łąk i mokradeł w dolinie Bugu. Wczesną wiosną łąki zalane są wodą, nad którą unoszą się dziesiątki ptaków wodnych i błotnych. Czasem pośród krzewów łoży można zobaczyć sylwetkę łosia. Na południe od rozlewisk, na płaskiej, lecz wyraźnie wyniesionej wyspie wyższego terenu, stoi sylwetka nowoczesnego kościoła. Ta jego nowoczesność wydaje się w tym pejzażu jakby obca. Zbudowano go w latach 1945—1954 według projektu czołowego polskiego architekta Bohdana Pniewskiego, autora m.in. pensjonatu Kiepurzy „Patria” w Krynicy, gmachu Sądów Grodzkich i kontrowersyjnego Domu Chłopa w Warszawie. Skąd ten nowoczesny kościół znalazł się w Prostyni, pośród rozlewisk Bugu i sośnin na ubogich piaszczystych glebach, hen, na krańcach Mazowsza?

Mocą uchwały pierwszego Sejmu Rzeczypospolitej, po odzyskaniu niepodległości, miano w Warszawie zbudować reprezentacyjny kościół wotywny Opatrzności. W roku 1921 powzięto uchwałę sejmową, w latach trzydziestych przeprowadzono konkursy architektoniczne. Lokalizację ostatecznie wyznaczono na Polu Mokotowskim. Jedną z dwóch głównych nagród zdobył Bohdan Pniewski, który „przedstawił bryłę złożoną z wybitnie smukłych bloków, gęsto obstawionych wąskimi lizenami. Podobnie potraktowaną wieżę zakończył otwartym belwederem” (Tadeusz Broniewski, *Historia architektury dla wszystkich*, 1980). Pniewski przedstawił potem kilka wersji. „Wśród kolejnych wersji pierwsza była bodaj najtrafniejsza: mocny, monumentalny masyw o prostej sylwetce, wielkiej wieży bez hełmu i wibrującej powłoce — uwspółcześnienie francuskiego gotyku” (Łukasz Heyman, *Kościół Opatrzności Bożej*; „Tygodnik Powszechny”, nr 12, 1983). Do budowy nie doszło, wybuchła wojna, po niej nieco zmieniony

projekt kościoła architekt zrealizował w Prostyni nad Bugiem.

Warszawiakowi nazwa wiele nie mówi. Dla mieszkańców wschodniego Mazowsza i zachodniego Podlasia jest to nazwa bardzo znana.

„Rzeka Bug, w dawnych czasach, jak utrzymują starzy ludzie, a wykopaliska przy wydobywaniu torfu potwierdzają, miała koryto swoje między wsią Złotki a Prostynią, od południowej, później od wschodniej strony, dotykała samej Prostyni, dziś zaś płynie od północy” — pisał w 1904 r. ks. Stefan Obłóza, miejscowy proboszcz, kronikarz słynnej parafii, który nakreślił historię Prostyni, będąca jednocześnie zajmującym obrazkiem krajoznawczym.

„Komunikacja bywała, a i teraz niekiedy przytrafia się w czasie zalewów wód, bardzo trudna. W łódki i promy wielu zaopatruje się, bo gdy przyjdzie niepożądany gość (to jest woda), i do domów się ciśnie, gotowi być muszą do przeprawy na pagórki. Inwentarz, wiedziony instynktem, wobec grożącego niebezpieczeństwa łatwo daje się wyprowadzić na wyżki lub na promy.

Lud bardzo z wodą oswojony, odważny, ale odwagę swoją często życiem przypłaca. Do rzemiosł, przemysłu zamilowania nie ma, o dobrego rzemieślnika tu trudno. Wielu wynajmuje się do splawu drzewa Bugiem i Wisłą do Gdańska; zysku niewiele mają, bo są wyzyskiwani. Cały czas letni straciwszy, z oszczędności swoich przynoszą do domów po kilkanaście rubli (...). Dziesięć lat temu ogarnęła ludność tu-tejszą gorączka wędrowni do Ameryki, a usłudni Żydzi dziesiątki uprowadzali za dobre pieniądze za granicę mężów od żon i ojców od dzieci. Niektórzy nadsyłają z Ameryki zasiłki pieniężne dla rodzin, inni zapomnieli zupełnie o swoich obowiązkach. Niedostatek jest towarzyszem nieodstępnym tu-tejszych mieszkańców, dla braku ryb w Bugu. Praca tu zawodna, grunt piaszkowy lub mokry mało zboża wydaje, fabryk nie ma, trafia się zarobek przy kolejach żelaznych, ale tylko niekiedy i mało korzystny, a dodajmy do tego niezarad-

ność i lenistwo ludu naszego, przedstawi się obraz o barwach i kolorach nieponętnych”.

W tym to krajobrazie, pośród biednej ludności, żyjącej na pograniczu egzystencji, w dniu św. Trójcy, 1 czerwca 1510 r. miejscowa wieśniaczka Małgorzata Błażkowska miała widzenie: ukazała się jej św. Anna, która wyraziła życzenie, aby miejscowy dziedzic, Prostyński, wybudował na wzgórze kościół pod wezwaniem św. Trójcy, a w miejscu objawienia wystawił kapliczkę „na cześć babki Pana Jezusa” (ks. Zdzisław Młynarski, *Modlitewnik Prostyński*, wyd. Rzym, 1976). Oba kościoły rychło wybudowano i już w 1511 r. erygowano parafię. Prostyń zaczęła obiegać sława miejsca cudownego. Towarzystwo jej coraz więcej legend. Jedną z nich zanotował W. Świątkowski.

„W pobliskiej wsi Złotki, oddzielonej starem korytem Bugu, niskiem, bagnistym, w dżdżysty wieczór jesienny zjawia się stara matrona i napotkawszy wracającego z pola gospodarza, prosi o przewiezienie jej do Prostyni, gdzie krzyż przydrożny stoi. Usłużny wieśniak przekłada strudzone wołki do wozu, zabiera nieznaną panią i rusza w drogę. Spokojne i zawsze posłuszne woły tym razem zbaczają z właściwego traktu, kierując się po prostej linii naprzelaj przez trzęsawiska i bagna. Wieśniak w rozpacz. Czeka go śmierć niechybna wraz z jadącą panią. Niepokój ogarnia go coraz większy. Żegna się duszę polecając Bogu. Na twarzy matrony nie widać ni trwogi ni lęku, pogoda maluje się i słodki uśmiech. Woły idą śmiało, nie grzęzną, wóz nie zapada. Jakaś nadziemska siła czuwa i kieruje przeprawą. Zabłyły światełka w Prostyń. Wynurza się pagórek z krzyżem. Woły stają jak wryte.

— Jestem Święta Anna — rozlega się głos z wozu. — Przybywam tu do wsi, by oddać należny hołd Trójcy Świętej” (W. Świątkowski, *Podlasie. Piąta wycieczka po kraju*, 1929).

Coraz liczniej pielgrzymowano do Prostyni. W 1547 r. przybyła tutaj z pielgrzymką sama królowa Bona.

Kościół pierwotny, filialny kościół parafii w Kosowie (w tym samym Kosowie, w którym przed kilkunastu laty odnaleziono nieznaną obraz El Greco), pobudowano w 1344 r. Z niego zachowała się drewniana figura Chrystusa na krzyżu, naturalnej wielkości. Potem wybudowano kościół w 1511 r. W 1552 r. zniszczyli go Tatarzy, łupiąc co się dało. Sto lat później, w 1657 r., obrabowali świątynię i zniszczyli ją Szwedzi. Odbudowany ze znacznym nakładem sił, został strawiony pożarem na początku XIX w. Kolejną budowlę wysadzili w 1944 r. Niemcy, rozstrzelując przy tym ok. stu mieszkańców wioski. Gdy po zakończonej wojnie podjęto kolejną decyzję budowy kościoła, postanowiono, by budowla ta była godną zasłużonego miejsca kultu. Tak więc stanął tutaj, na pograniczu Mazowsza i Podlasia, pośród bagiennych łąk i lasów, w sąsiedztwie terenu dawnego obozu zagłady w Treblince, gdzie hitlerowcy zamordowali kilkaset tysięcy Żydów z całej Europy, tak więc właśnie tutaj stanął ten kościół, przeznaczona ongiś dla Warszawy — Świątynia Opatrzności.

Ozdobą kościoła jest figura Św. Trójcy z drewna lipowego, o wysokości 125 cm, znajdująca się w głównym ołtarzu. „Silne wrażenie wywiera na widzu ta piękna rzeźba nieznanego dłuta i długo pozostaje w pamięci” — pisał W. Świątkowski. Rzeźba pochodzi z początków XVI w., tradycja przypisywała ją ręce Wita Stwosza. Przedstawia postać Boga Ojca, trzymającego na kolanach rozpiętego na krzyżu Syna, nad którym unosi się gołąb, symbolizujący Ducha Świętego. Według ks. Stefana Obłozy figura ta „prawdopodobnie pochodzi z pierwszego kościoła, przemawia zatem Jej starożytność, wszystkie spisy inwentarza nazywają ją *Grabiosa antiquitus — clarescit miraculis*, nie wspominają o początku ani pochodzeniu, utrzymuje się tylko żywo tradycja, że Bugiem z wodą przypłynęła i tu w Prostyń się zatrzymała. Mniej pewne podanie, a raczej przypuszczenie, że jest darem dla kościoła tutejszego Ks. Biskupa Łuckiego, Pawła Algemunta księcia Holszańskiego, pasterza Die-

cezy" (ks. Stefan Obłoa, *Pamiętka z Prostyńi*, 1904).

Figurę przesłania „obraz dobrego pędzla, wyobrażający chwilę zjawienia się św. Anny, według opisu w księdze cudów się znajdującego”; na obrazie kłęczy Małgorzata Błażkowa i widać postać fundatora w niewoli u Tatarów.

Cenny jest obraz przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem, kopia dzieła hiszpańskiego malarza Murillo, wykonana we Florencji, oprawna w zdobną barokową ramę. Jest wreszcie tzw. *Korona św. Anny*, wykonana z blachy srebrnej, wedle tradycji relikwiarz, dzieło z okresu późnego gotyku, datowane na 1514 r. Zawierała ona w sobie cztery wianki, które według przekazów pozostawiła św. Anna po ukazaniu się Małgorzacie Błażkowej: „trzy wieńce wraz dziwnym sposobem połączone a czwarty pod nimi leżący, trawą złączony, wszystkie sztucznie zdziałane”. Koroną tą kapłan, przybrany w komżę i stulę, raz do roku po skończeniu nabożeństwa czterdziestogodzinnego, w uroczystość Świętej Trójcy, dotyka głów wiernych, „na który to obrząd lud oczekuje z religijnym uszanowaniem i pospolicie nazywa koronacją”. Na uroczystość co roku ściągają do Prostyńi tłumy pątników.

Raz jeszcze oddajmy głos kronikarzowi. „Dawnych czasów sprowadzała tu pobożność lud wierny, dziś, niestety, nie o wszystkich to wypowiedzieć można. Różni oszuści korzystają z nieostrożności, wciskają się pod pozorem pobożności, okradają nawet w kościele. Chciwi zysku, różnymi sposobami zwabiają ciekawych do swych budek przy odgłosie muzyki z bębenkami, odciągają od kościoła i nabożeństwa. Żydzi urządzają prawie jarmark. Karuzele, menażerya, loteryjki z ptaszkami podającymi losy, słowem to wszystko, co praktykuje się na jarmarkach. Bywały wypadki, że w studnie nalewano nafty, by wody nikt nie pił, a używał sodowej, owocowej, w różnych odmianach i kolorach, słowem to, co przekupnie dostarczyli na sprzedaż”.

Na odpustach tych można nabyć „kozę prostyńską”. Jest to mała chlebowa figur-

ka, przedstawiająca zwierzątko o spiczastym pyszczku, dwóch ostrych różkach i zadartym ku górze równie spiczastym ogonku. Figurki te wypieka się głównie w niedalekiej Ostrowi Mazowieckiej. Tradycja wiąże figurkę z wielką powodzią, kiedy to fala powodziowa zabrała z kościoła święty obraz, który uratowała koza, biorąc go na rogi i z nim przypływając z powrotem na wyższy teren.

Mówiąc o Świątyni Opatrzności w Prostyńi nie sposób nie wspomnieć o innej Świątyni Opatrzności, która stoi kilkadziesiąt kilometrów na południe od Prostyńi, również na pograniczu ziemi mazowieckiej i podlaskiej, w Mokobodach, niewielkim miasteczku nad Liwcem.

Dla uczczenia Konstytucji 3 Maja rozpisano konkurs architektoniczny, pierwszy konkurs tego typu w Polsce. Tematem konkursu był wotywny kościół Opatrzności, który miał stanąć na Ujazdowie w Warszawie. Konkursowi patronował sam król Stanisław August Poniatowski, który ostatecznie zaakceptował projekt Jakuba Kubickiego. Autor warszawskiego Belwederu tworzył w trudnych czasach: przeżywał radość z uchwalenia konstytucji majowej, targał nim rozpacz na wieść o trzecim rozbiornie. Potem nadciągnął On, następca Augusta i Trajana, sam wielki Napoleon. Przeżył Kubicki epizod Księstwa Warszawskiego, intermedium austriackie na Mazowszu i ostatnie lata życia przypadły mu na czas Królestwa Polskiego, satelickiego państewka rosyjskiego cara. Projekt Świątyni Opatrzności nie mógł być realizowany w Warszawie. Więc architekt zmniejszył go do jednej czwartej i zrealizował w Mokobodach, na zamówienie ich właściciela, starosty drohickiego i prezesa Sądu Apelacyjnego w Warszawie, Jana Onufrego Ossolińskiego. W latach 1798—1818 stanęła ta świątynia nad Liwcem. Zbudowana na planie zbliżonym do kwadratu, o wnętrzu, którego kompozycja oparta jest na planie krzyża greckiego, zwraca uwagę prostotą swoich założeń i elegancją formy. „Wnętrze — piękne, pełne światła, które wypływa m.in. z ukrytych źródeł w kopule, znajdującej się na

skrzyżowaniu nawy z transeptem, oraz z lunet w sklepieniach kolebkowych nad bocznymi kaplicami" (Tomasz Chłodziński, *Mazowsze południowo-wschodnie, Podlasie zachodnie*, 1966).

I ten kościół pobudowano dla godnego uczczenia obiektu kultu. Jest nim malowany na desce obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, tzw. Budzieszyńskiej, ozdobiony artystyczną sukienką i obramowany piękną rokokową ramą. Obraz datowany jest na 2 poł. XVIII w. Według tradycji pochodzi jakoby z XII w. Pierwotnie znajdował się w kaplicy oddalonej o 2 km na północ od Mokobodów, w Budzieszynie. Opowiadają, że przywieźli go z sobą rycerze mazowieccy, którym towarzyszył w czasie walk z Jaćwingami. W czasie tych walk obóz swój rycerstwo mazowieckie rozbiło właśnie w pobliżu Mokobodów. Pewnej nocy, gdy Mazowszanie nie spodziewający się niczego spokojnie zasnęli, pod obóz podkraśli się Jaćwingowie. Zwycięstwo Jaćwieży byłoby pewne, gdyby nie obraz, który swoim blaskiem obudził Mazowszan na czas, tak że zdolali odeprzeć atak. Miejsce, na którym stał obóz, nazwano Zbudzysyno, potem zwano go Budzysyno, wreszcie Budzieszyn. Taką samą nazwą zaczęto z czasem określać obraz, który umieszczono w zbudowanym tam kościółku. W 1458 r. nawet erygowano parafię, pomimo braku wsi w sąsiedztwie. W roku 1646 parafię przeniesiono do Mokobodów.

Ostatni drewniany kościółek budziszynski znajduje się obecnie w Jarnicach nad Liwcem, naprzeciw ruin zamkowych we wsi (dawniej mieście) Liw. Legenda mówi, że kościółek ten przyplynał tutaj rzeką. Jest to jedna z tych nielicznych legend, które nie są legendami. Sądzić należy, że rzeczywiście kościółek spławiono Liwcem tratwami z położonych wyżej od Jarnic Mokobodów. Jarnice są miejscowością, z którą niejedna legenda jest związana. Na przykład ta o szwedzkich wojnach, mówiąca o rycerzach śpiących wśród morenowych pagórów nad Liwcem. Rycerze ci wstaną wtedy, gdy król szwedzki Karol Gustaw powróci tu po swój zgubiony ka-

pelusz. Wtedy bój rozgorzeje krwawy i od krwi poczerwienieją wody Liwca.

W Budzieszynie, u stóp nowszej kapliczki, bije do dzisiaj silne źródło o cudownych właściwościach; obmycie się w nim przywraca ponoć zdrowie. Tu wciąż można napotkać pielgrzymujące tłumy wiernych.

W 1 poł. wieku XIX, w tym samym czasie, gdy osiągnęły swoje apogeum warszawian niedzielne wyjazdy na Bielany, narodził się w Warszawie inny rodzaj wycieczek za miasto. Były to wyjazdy młodych literatów, owocujące potem udanymi utworami poetyckimi. Oni to pośród pól, łąk i zagajników, na skraju boru, wśród wiejskich opłotów poszukiwali odpoczynku i poszukiwali „korzeni” narodu i swoich.

„Wiadomo jak chętnie wyrwali się młodzi literaci i artyści wówczas poza granice miasta. Warszawa przygniatała ich i mierzła, jako miasto pałaców arystokracji i kamienic zamożnego mieszczaństwa” — pisał Jan Nowakowski, autor biografii jednego z nich, Teofila Lenartowicza, wydanej w 1973 r. — „Formą ucieczki były częste i liczne wyjazdy cyganów poza jej rogatki — na otwartą przestrzeń Mazowsza, na wieś polną, leśną, zieloną, do miasteczek cichej mazowieckiej prowincji, do rozsianych pośród wiosek dworków szlacheckich, do leśniczówek śródleśnych, do wsi wreszcie: wiejskich karczem, drobno-szlacheckich zaścianków, chłopskich na koniec zagród i obejmć”.

Tę chęć poznania Polski, jej krajobrazu, historii i ludu zaszczepili wśród warszawskiej inteligencji artystycznej dwaj wielcy Polacy — Julian Ursyn Niemcewicz i Stanisław Staszic. Wędrowali oni po kraju, obserwowali i notowali, opisywali swoje podróże, obserwacje, formułowali wnioski. Niemcewicz odbywał podróże historyczne po ziemiach polskich między rokiem 1811 a 1828, Staszic kierował się głównie ku południowi, ku regionowi świętokrzyskiemu i Karpatom. To były podróże i wędrowki naukowe, a pozostawione przez nich pisma i opracowania położyły

podwaliny pod wiele rodzimych nauk, zwłaszcza jeśli chodzi o historię (Niemcewicz) i geologię (Staszic).

Na warszawskim Starym Mieście, w gospodzie „Pod Parkanami” w rejonie Gnojowej Góry, mieściła się główna siedziba warszawskiej młodzieży literackiej, która w latach czterdziestych ubiegłego wieku wyruszała ku wsi mazowieckiej.

*Jeżeli w pierś gorycz się obudzi
I na twarz śmiałą wybiję boleści,
Gdy wzięte serce więcej nie pomieści,
To porzuć miasto i z dala od ludzi
Ciężarem cierpliwości umysł skotłanany
Poniesz na ciche mazowieckie tany*

Ten wiersz wyszedł spod pióra jednego z nich, Seweryna Grzegorza Filleborna. Duszą towarzystwa był Roman Zmorski, poeta rozkochany w Mazowszu i ludzie mazowieckim. Jest wśród nich urodzony w Serocku, kędy Bug łączy się z Narwią, Włodzimierz Wojski; jego wyprawy na wieś zaowocują potem librettem do narodowej polskiej opery. Wędruje z nimi Cyprian Kamil Norwid, rodem z małej wioszczyny na równinie mazowieckiej, przycupniętej pomiędzy Radzyminem a Wyszokowem, „na prostej, bezpoetycznej, obwołu stanisławowskiego w Mazowszu, równej jak piaski ziemi”.

Młodzi literaci wyrwali się za miasto. Gościli ich dworki Morzkowskich w Rybieniu, Dybowskich w Dębinkach (gdzie Krynia i Brynia, Krystyna i Brygida Dybowskie z drżeniem serca oczekiwały wizyty Lenartowicza i Norwida), domy Bogdaszewskich i Brzozowskich w Wyszokowie, rodzinne „Norwidowo” Cypriana we wsi Laskowo-Głuchy. Wędrowano wiosną i latem, jesienią i zimą. „W przededniu Nowego Roku poprzez kurzawę śnieżną i zasy, pokrywające gościńce i leśne drogi (...) przekopywały się tu ze wszystkich stron sanie, a przerywane sygnały janczarów dawały znać o sobie daleko” (Henryk Syska, *Nad Wisłą, nad Bugiem*, 1959).

Wędrował z nimi Teofil Lenartowicz, „lirnik mazowiecki”, który pisał tak m.in.:

*Mnie wszystko tak cieszy, co swojskie,
co nasze,*

*I ludzie mi drodzy i mili;
I nie wiem, co miłsze nad wiejskie poddasze?*

*Nad ptaka, co w krzakach wciąż kwili?
Nad żonę, co w białej len przedzie świetlicy?
Nad ziemię, co zboże mi rodzi?
I nie wiem, co miłsze nad ludzkie wejrzenie?
Co czystsze nad wodę przeczystą?
Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie?
Co droższe nad ziemię ojczystą?*

W wierszach i opowiadaniach, będących plonem tych wędrowek, najczęściej pojawiał się obraz wsi sielskiej, radosnej. Wsi spokojna, wsi wesola — wołano za Kochanowskim. Lecz nie tylko. W pierwszej połowie XIX w. realizowane było uwłaszczenie chłopów. Znoszono pańszczyznę, uwalniano rolników z feudalnych obciążeń i przekazywano im ziemię na własność. Wieś nie zawsze była spokojna, nie zawsze wesola. Dostrzegano ten obraz polskiej wsi:

*Trzy ścieżki idą z chaty
na dolę i niedolę...
Ta jedna idzie przed się,
Gdzie orzą pańskie pole,
Ta druga idzie w lewo,
Gdzie biała karczma stoi,
A trzecia na ten cmentarz,
Gdzie leżą wszyscy swoi...*

Karol Brzozowski, pisarz, autor wierszy, poematów i dramatów, uczestnik rewolucji w 1848 r., ojciec dwóch młodopolskich poetów, sam był synem nadleśniczego z Puszczy Białej, z Dąbrowy koło Wyszokowa. W 1893 r. opisał w „Przeglądzie Naukowym i Literackim” swoje wędrowki przy boku Lenartowicza i Wojciecha Jastrzębowski. Jastrzębowski, znakomity botanik i światły obywatel, profesor znanego Instytutu Agronomicznego na warszawskim Marymoncie „co rok dwa miesiące wakacji poświęcał pieszym wycieczkom botanicznym po kraju, w których towarzyszyli mu uczniowie marymonccy, a czasem pomiędzy nimi znalazł się jaki młodzieniec spoza szkoły”.

Wycieczki, jakie organizował Jastrzębowski, były nie tylko wycieczkami botanicznymi. Brzozowski pisze, iż była to swego rodzaju Akademia, na której profesor „żywym, ciepłym słowem uczył nas ojczyźnej historii (...) i obowiązków względem ojczyźny i ludzkości. A była to i wyborna szkoła trudów; spało się, gdzie noc zaskoczyła — w lesie na mchu, na wrzo-

sie lub w polu po kopcach siana, a najczęściej gdzie na suchym piasku. Jak się spało, tak się i żywiło; nie pozwalał mistrz nasz ukochany pić mleka, utrzymując, że osłabia — rano więc zjadło się kawał razowego chleba z solą, a jeśli była gdzie w pobliżu jaka karczma, to parę szklanek piwa w niej się wypilo, zrobiło się zapas jaj, czasem kupiło się jaką ćwiartkę pieczonej baraniny — i dalej w drogę”.

Żal czasem ogarnia, dzisiaj, iż takich jak ta oto przygoda przeżyć już nie możemy.

„Przypominam sobie, na jednej takiej wyprawie schwytała nas z grzmotami ulewa i zmoczyła do kości. Słońce, zakryte chmurami, nie kwapiło się odzieży nam wysuszyć; zresztą o to mniejsza, ale nasz zbiór botaniczny zagrożony był zniszczeniem — a to szkoda wielka — ale pan Wojciech, znający każdą pędź ziemi Kongresówki, wyprowadził nas manowcem leśnym na szeroką drogę, przy której wielka stała karczma, a w niej słychać było basy i skrzypki, wyrzynające od ucha jakiegoś mazura.

W to graj i nam! Szturmem wpadliśmy w ogromną izbę — i nie wiem już, jakim cudem zrobiło się dla nas kilkudziesięciu miejsce w tłoku wirujących taneczników i tanecznic. (...) Kilku było między nami muzycznych, rzucili się do skrzypiec i basów, i zaczęli się szalony obertas, a tak musiał rozgrzewać, że para z naszych bluz i surdutów kłębami uciekała przez okna i drzwi otwarte”.

Józef Wieniawski, pseudonim „Jordan”, autor wspomnień *Z teki marymontczyka* i dziadek Juliana Ejsmonda, pisał, że Wojciech Jastrzębowski „nieraz elegancików karcil za glansowane rękawiczki i lakierowane buciki”, że „burczał na émidło i kopcidło (cygare i fajkę), wytrącał z ręki parasol, gdy go delikatniś któryś w deszczu rozpostarł, robił to po to, żeby mocnych i zdrowych obywateli przygotować”.

Ok. 1840 r. w okolicach Warszawy poczyna zbierać pieśni i muzykę ludową Oskar Kolberg. Jak pisał w liście do A. Mokrzyckiego „wychylaliśmy się często za miasto, w porze letniej, by świeżym, ożywczym na wsi odetchnąwszy powietrzem,

zaczernąć też i świeżej melodii z tryskającego tam bezustannie narodowej muzyki źródła. A znaleźli się (zwłaszcza gdy horyzont badań się rozszerzał) prawie zawsze do wędrówek naszych towarzysze, tymże samym ku rzeczom sielskim ożywił duchem, przelewający dosadnie na papier dziarskie włościł typy i fizjognomie lub kreślący z zamiłowaniem myśli i wyrażenia poetyczne tak szczerze w tych pieśniach i przysłowiach rozrzucone”.

W wieku XIX pojawił się romantyczny ruch ludoznawczy i cała plejada „starożytników”, korespondentów „Kłosów”, „Wędrawca”, „Tygodnika Ilustrowanego” i innych dzienników i czasopism, donoszących coraz o nowych odkryciach archeologicznych, przynoszących wiadomości o starożytnych i czcigodnych zabytkach, pielgrzymujących na wieś, by przeżyć coś niezwykłego, by móc zanotować coś, czego jeszcze nikt nie zanotował. Dzieła Oskara Kolberga inkrustowane są obszernymi, cytowanymi ze wspomnianych pism, reportażami i sprawozdaniami. Już nie tylko Kolberg, także i inni wydają swoje opracowania. Takich jak on jest coraz więcej. *Pieśni, Podania, Baśnie, Zwyczaje i Przesady Ludu z Mazowsza Czerskiego wraz z Tańcami i Melodyami* zbiera Kornel Kozłowski i wydaje w 1869 r.

„Gniazdo bocianie znajdujące się we wsi chroni ją od gradów i piorunów. Zakładając nowe gniazdo dla bociana, potrzeba mu włożyć koniecznie i kawałek lusterka, żeby się przeglądał, i pieniądź, żeby sobie mógł liczyć. Gniazda inaczej zbudowanego bocian nie przyjmie. (...) Kto pierwszy raz na wiosnę zobaczy bociana w locie, ma dobrą wróżbę — czasem to wróży podróż, najczęściej dobre zdrowie. — Złą jest wróżba, jeżeli się zobaczy bociana siedzącego”.

Niezwykle popularny jest w Warszawie Władysław Kazimierz Wójcicki. Spod jego pióra opowieści, powieści, klechdy i bajdy ludowe i pseudoludowe spływają jedna za drugą. Folklorysta, którego twórczość, w większości dzisiaj zapomniana, był dla czytających go nauczycielem historii, patriotyzmu, wiedzy o dawnym obyczaju, o mniemaniach i tradycjach zawar-

tych w literaturze ludowej. „Przed zamkniętą z carskiego ukazu bramą Uniwersytetu Warszawskiego Wójcicki rozłożył swój stragan z popularną a pouczającą lekturą” (*Dzieje folklorystyki*, 1970).

Wszyscy ci, którzy ziemi mazowieckiej przypatrują się powierzchownie, ci którzy przywykli do płatnego korzystania z usług krajobrazowych, wszyscy ci mówią, że pejzaż to monotony, płaski, mało interesujący. Łaski i piaski — to jest najkrótsza definicja tego pejzażu. Definicja jednak nie w pełni uzasadniona. Mazowsze to nie tylko monotonne równiny. To także wysokie wydmy piaszczyste, graniczące z bagnami, jak na przykład w Puszczy Kampinoskiej. To „łagodne w liniach zarysy wzgórz, lekko sfalowane powierzchnie pól i ciche doliny rzeczne”. Wysoczyzna Rawska w okolicach Mszczonowa i Babska przeczy utartym stereotypom wyobrażeń o Mazowszu. Głęboko wcięta dolina Jeziorki na zachód od Grójca zadziwia swoją odmiennością pejzażową.

„Jaki pejzaż jest najbardziej polski? Nosisy swój pejzaż już w samym naszym narodowym imieniu” — pisał przed kilkunastu laty Jerzy Putrament. „Więc pole, więc nie góry, nie lasy są naszym naczelnym krajobrazem. Pole, choćby podłowickie; z wierzbami na miedzach i nad wodą, z sadzikami przy zagrodach. To jest pejzaż niestały, zamglony, zmienny, bez wyrazistych rysów, bez ostro zaznaczonych granic, otwarty na wschód i zachód, wymagający wiele wysiłku, a czasem rozpacz, żeby się go uchwycić i nie dać zdmuchnąć przeciągom. (...) Na wielkiej polskiej równinie jest jedna pionowa zmarszczka: nadwiślańska skarpa. Z niej równinny polski pejzaż nabiera intensywności, jakby tężeje. Po prostu staje się bardziej rozległy. Lewy brzeg pod Górą Kalwarią, prawy — pod Wyszogrodem czy Płockiem, to są te miejsca, z których widzi się nasz kraj w wielkiej kondensacji, widzi jego rozległość, zatarcie konturów, mgiełkę nad horyzontem, jakże polską nieokreśloność, pozwalającą wyobrazić sobie Bóg wie co, liczyć, że za tą mgiełką Bóg wie co, Bóg wie co”...

Na pejzaż nizin trzeba być uwrażliwionym. Trzeba specjalnego rodzaju „słuchu”, który reaguje na najmniejsze drgnienie powietrza, na te wszystkie tony, półcień, niuanse, którymi ten pejzaż potrafi nagrodzić i obdarzyć. Jak szukać tego pejzażu, jak go „słuchać”?

„Sądzę, że na to pytanie dał najpełniejszą, bo kolorową odpowiedź Józef Chełmoński, malując swój słynny zmierzch. Jest na nim przedstawiony płaski krajobraz i bezchmurne niebo. I niczego więcej nie ma na tym obrazie. A właściwie jest już wszystko — gasnący dzień, zapach pól i skrzypienie wozu, który gdzieś daleko wtopił się w mrok polnej drogi. Zjawia się nadzieja pogodnej nocy, o której mówi jasno świecący punkt jutrzeńki. Płaski krajobraz przemówił barwą, przestrzennością i niepowtarzalną poezją”.

Wiktor Zin, z którego świetnej książki *Piękno nie dostrzegane* pochodzi ten cytat, ma wspaniały dar kierowania wzrokiem człowieka. I myślę, że ma rację kierując naszą uwagę na malarstwo pejzażowe 2 poł. XIX w. Chełmoński był Mazowszaninem w każdym calu. Urodzony w Boczkach koło Łowicza, większą część swego życia spędził w Kuklówce koło Grodziska Mazowieckiego, gdzie umarł, pochowany na wiejskim cmentarzyku w Żelechowie. Któż lepiej od niego mógł przedstawić ten pejzaż, wśród którego żył, wędrował, którym oddychał. Co najważniejsze, nie jest to malarstwo „fotograficzne”, jak np. u znanego malarza rosyjskich pól i lasów, u Iwana Szyszkiina.

Krajobraz mazowiecki w malarstwie był tematem obrazów nie tylko Józefa Chełmońskiego. Mazowieckie niziny były malowane przez całą gromadę wybitnych i mniej znanych artystów. Jeszcze romantycy malowali pejzaże w pracowniach, na podstawie zaledwie szkiców z natury. Malarstwo 1 połowy XIX w. wyrusza z pracowni „ku wsi, ku wolnej przestrzeni, byle z dala od miasta”.

„Szli więc paryscy malarze na połów wrażeń ku zielonym polom i lasom Fontainebleau, które już za Ludwika XIV zwią-

zwały się z malarstwem francuskim. Spotykali się gdzieś u samego krańca boru i rozkładali się obozem w chatach i stodołach wioski Barbizon. Rok w rok była ona świadkiem tego najazdu artystów. Siano było ich posłaniem, łąki i lasy zamieniały się w atelier i w modela zarazem”.

Szli więc także w plener malarze polscy.

Pejzaż polskiej wsi odkrył jako pierwszy Jan Piotr Norblin. Jean Pierre Norblin był Francuzem, którego sprowadzili do Polski Czartoryscy w 1774 r. Jednym z jego najbardziej utalentowanych uczniów był Michał Płoński, który często przebywał w Nieborowie, gdzie pod okiem знаmienitego Francuza doskonalił swój talent. Był malarzem wiejskich chałup. „Każda chałupa, każda zagroda w rysunkach Płońskiego ma swój własny charakter, jakieś cechy specjalne. Od tych mieszkań, mimo całego ich prymitywu, niewygodny, biedny, bije ciepło codziennego życia rodzinnego”. Jan Feliks Piwarski — ktoś, prócz specjalistów, historyków i miłośników sztuki pamięta dzisiaj to nazwisko? Rysownik znakomity, zajmowały go tematy wyłącznie polskie. Pozostały więc po artyście obrazki z jarmarków i targów, litografie przedstawiające typy wiejskie jak np. *Wieśniacy z okolic Warszawy czyli powrót z miasta po jarmarku*. Jedną z prac artysty przedstawia karcznię *Ostatni grosz*. Chałupa kryta strzechą, dach z naczółkiem, ozdobne narożnice, z komina unosi się dym. Przed karczmą droga, na której furka zaprzężona w dwa konie z charakterystycznymi „dugami”, do furki przywiązane krowy. Bliżej karczmy piesi, wiejskie kobiety w długich spódnicach. W tle potężne sosny, fragment jakiegoś dużego boru. O takiej to karczmie pisał Edward Chłopicki w „Kłosach” w 1871 r. „Tutaj o każdej porze roku, tak we dnie, jak w nocy, zastać można szeroki tabor rozstawionych dokoła wozów, bryczek, a niekiedy i powozów. Świergot leśnego ptactwa, gdekanie kur w przyległym leśnym zaścianku i hukanie żab w moczarach łącznych mięszają się prawie ciągle

z gwarem krzepiącego się gorzałką, lub chłodzącego się piwkiem ludu”.

Ulubionym miejscem, do którego wyjeżdżają na plenery artyści warszawscy, są okolice położone na wschód od miasta. Uczniowie Piwarskiego wpadają w nałóg wędrowania. Gerson wraz z Olszyńskim i Siwińskim w ciągu letnich miesięcy roku 1851 wędrują pieszo traktami i drogami do Puszczy Augustowskiej i dalej do Wilna. Franciszek Kostorzewski notuje w swoim pamiętniku: „Nasze lasy mają dziwny urok i sto razy są piękniejsze w swojej różnorodności — niż za granicą”. Maksymilian Gierymski „sledzi z namietnością badacza wszystkie najdrobniejsze składniki organizmu przyrody, rysunek kory na pniach, jej załamania i zgrubienia, układ gałęzi, powiązanie igieł z gałązkami, kształt gałązek”. Jego znakomity i szeroko znany *Patrol powstańczy* zawiera kwintesencję prawdy o pejzażu i dramatyzmie historii Mazowsza.

Wieloma obrazami zapisały się okolice wsi Chrzęsne (Chresne) koło Radzymina. Przyjeżdżał tu i malował realista Piwarski. Swoje pierwsze impresjonistyczne obrazy malował tutaj Władysław Podkowiński (*Sad w Chrzęsnem, Mokra wieś*). Powstawały tu jego obrazy przepelnione kolorem, czasem użytym dosyć ryzykownie: całe gamy zieleni, fioletów, błękitów i różów, jednak podporządkowanych naczelnemu tematowi, jakim był — nastrój. Przez detale dotarł Podkowiński do charakteru tutejszego pejzażu.

Współzałożycielem zasłużonego towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych był Julian Cegliński, doskonały pejzażysta, autor *Albumu widoków Warszawy i okolic*. Wielokrotnie zapraszał warszawskich malarzy w swoje rodzinne okolice, pod Mińsk Mazowiecki. Tutaj, do Woli Rafałowskiej zjeżdżał na plenery Stanisław Masłowski, świetny akwarelista, zatrzymując się w domku pp. Kalinowskich. „Domek był arcykromy, ale miał zaraz po drugiej stronie podwórza bardzo typowy ogród warzywny, pełen słoneczników, koprów, słażów, malw wśród wisien, śliwek, winiówek, pomarańczówek”. Masłowski malował

